

Lawendowe morze szczęścia. Rozmowa z Joanną Posoch

W mieście naprawdę nie da się żyć?

Joanna Posoch: Oczywiście, że się da. Znam wiele osób, które nie wyobrażają sobie życia poza miastem i doskonale je rozumiem, ponieważ miasto ma wiele zalet. Jednak w moim przypadku było inaczej – miałam poczucie, że dłużej już nie dam rady wytrzymać w mieście. Było to tak mocne odczucie, że wręcz dojmujące.

Pomimo tego dziś z przyjemnością jeżdżę do dużych miast i jestem zachwycona zmianami, które w nich się dokonują. Te zmiany widzę szczególnie wyraźnie z perspektywy wsi. Generalnie daleka jestem od tego, aby źle oceniać miasto. Osobiście jednak wolę mieć do dyspozycji więcej przestrzeni, być bliżej natury i przyrody. Pod stopami czuć ziemię, a nie wszędobylskie chodniki. Ziemia, trawy, dzikie łąki to zupełnie inna jakość, podobnie jak nocne niebo, które w mieście jest w zasadzie niewidoczne.



Tak na przełomie czerwca i lipca wygląda warmińska plantacja lawendy. Lekko wyżynny, dziki krajobraz i „fioletowa chmurka” lawendy tworzą interesujący kontrast barwy i stylu. Fot. Rafał Lipski

Na okładce swojej książki napisałaś „Uświadomiłam sobie, że jeśli nic w moim życiu się nie zmieni, to umrę. Nie było żadnych wzniosłych idei i genialnych pomysłów”. Skąd tak mocne słowa?

To wypływało z mojego wnętrza, gdyż całe moje jestestwo zaczęło protestować. Czułam, że wysycha

mi dusza. Na nic nie miałam czasu, w kółko pracowałam, żyłam jednak na ćwierć gwizdka. Nie byłam w stanie wypełnić żadnej swojej wewnętrznej woli.

To były chyba zwykłe problemy osób, które są przepracowane i niezadowolone z tego, gdzie są i co robią. Przestałam być zadowolona z tego, gdzie byłam. Nie miało sensu ciągnąć tego dłużej.

Czy praca, którą wykonywałaś w mieście, zapewniała ci dobrą pozycję finansową? Twoje rozterki nie dotyczyły chyba tego, że brakuje ci pieniędzy na życie. Zabrakło czegoś innego?

Zarabiałam przyzwoicie. Byłam brokerem ubezpieczeniowym, miałam własną firmę, działałam rzetelnie, wyrabiałam się w tempie pracy korporacji. Musiałam chodzić na rozmaite spotkania, odpowiednio się ubierać, tak jak było to przyjęte w tym środowisku. Nie miałam powodów do narzekania na finanse, ale zauważyłam, że jeżeli mam tak funkcjonować do końca życia, to nie widzę w tym jakiegokolwiek sensu. I zadałam sobie pytania, czego potrzebuję, dlaczego jestem nieszczęśliwa – i wyszło mi, że potrzebuję rozpoznać, kim w ogóle jestem. Tkwienie w mieście i na tej ścieżce, na której byłam, niczego już nie rozwiązywało.



Lawendowe mikstury wytwarzane są ze świeżo zebranych kwiatów, które mają najbogatszy i najszlachetniejszy aromat. Fot. Rafał Lipski

Twoja droga odejścia od korporacyjnego modelu kariery to chyba wciąż rzadki wybór drogi życia?

Być może moja sytuacja jest w jakimś sensie nietypowa, ale przyjeżdżają do mnie ludzie, którzy pragną zmienić swoje życie.

Wydaje mi się, że jest trend narastającego buntu, jeśli chodzi o system korporacyjny, bo jest on jednak nieludzki – nie można w nim okazywać emocji, należy opanować język ciała, wręcz nie można być sobą. To jest nie do wytrzymania.

Czy jest coś charakterystycznego w relacjach ludzi z miasta?

Wczoraj miałam spotkanie z ludźmi z miasta, którzy marzą o tym, aby zmienić swoje życie. W naszej długiej, przyjacielskiej rozmowie motywem przewodnim było to, że oni czują się niewolnikami systemu, w który są wprzęgnięci. Pracują, mają dzieci, wydatki – i cały czas próbują utrzymać się na powierzchni. Nie mają oszczędności, które pozwalałyby im czuć się komfortowo. Cały czas walczą. Ta walka zdaje się być wspólnym motywem przewodnim takich opowieści.

Skąd wziął się ten niepokój, który wyгнаł cię na wieś?

Nie miałam doświadczenia wiejskości. Wychowałam się w małym mieście, trochę w Warszawie, tak naprawdę nie wiedziałam, czym jest wieś. Miałam obrazy przelatujące przez głowę – wspomnienia z wakacji na wsi u moich dziadków na Wileńszczyźnie. Tam główną rolę odgrywała babcia, która była ciepłą, niezwykle sympatyczną osobą. Tęskniłam do takiej sytuacji – jest wieczór, pali się ogień w piecu i jestem tam tylko ja.

Czy wyobrażając sobie przyszłość na wsi widziałas tam miejsce dla swojej pracy, takich codziennych powtarzalnych czynności? Czy idylliczne wyobrazenie nie zostało zweryfikowane przez życie?

Masz rację, wtedy nie zwracałam uwagi, że ta moja wiejskość będzie wyglądać tak jak dzisiaj. Mój pierwszy obraz wsi był sielski. Pojechałam na wieś bez scenariusza, bo stwierdziłam, że jeśli wymyślę sobie scenariusz, to będzie on wymyślony przez umysł miejski. Absurdalne będzie, jeśli miejski umysł wymyśli wiejski scenariusz życia. Zresztą nauczono mnie na studiach, że nie trzeba szykować scenariuszy za wcześnie, lecz patrzeć, co będzie, a dopiero wtedy weryfikować postawę. Postanowiłam po prostu zdać się na los, na to, co przyjdzie. Postanowiłam wewnątrz, że sobie po prostu poradzę.

I jestem bardzo szczęśliwa, że przeniosłam się na wieś. Mam poczucie, że to, co robię, jest tym, co chcę robić, a nie tym, co ktoś mi każe. Ma to sens na głębszym poziomie. Oczywiście pracy do wykonania jest bardzo dużo, od wiosny do jesieni nie mam czasu dla siebie, ale to nie waży na obrazie całości, bo najważniejsze jest to, że widzę w tym sens.



Taniec korowodowy na lawendzie podczas Wielkiego Otwarcia 15 czerwca 2014 r.
Fot. Anna Maria Biniecka

Nie żal ci czegoś, co zostało w mieście?

Na początku na wsi brakowało mi ludzi. Nie brakowało mi samego miasta, jedynie ludzi. Jednak Olsztyn, blisko którego mieszkam, ma wszelkie cechy miasta, są w nim wszystkie miejskie rozrywki. Gdy chcę z nich skorzystać, robię to bez problemu.

Miasto wibruje i trzeba zgodnie z nim wibrować, trzeba się w jego tempie zmieścić. Ale ja tego tempa nie czuję. I do jego wibracji nie mam tęsknot. Natomiast do ludzi tak. Na szczęście w międzyczasie poznałam tutejsze środowisko i mój głód kontaktów z różnymi osobami, rozmów z nimi, został zaspokojony.

Miejsce, gdzie mieszkasz, jest bliskie Teatrowi Węgałty, ludziom o podobnej wrażliwości.

Na początku nie miałam świadomości, gdzie wylądowałam, nie miałam rozpoznanego tego

środowiska, ale pocieszało mnie to, że są ludzie, którzy mają miejską przeszłość za sobą. A ta wspólna historia zbliża.

Czy uważasz, że dobrze byłoby, gdyby więcej osób opuściło miasto i podążyło twoją ścieżką?

Nie czuję się architektem życia innych ludzi. Nie myślę w tych kategoriach. Natomiast uważam, że każdy człowiek powinien mieć prawo i szansę, żeby spędzić swoje życie tak, jak pragnie. To jedna z rzeczy, które decydują o naszym szczęściu. Natomiast to, czy ludzie się realizują w mieście czy na wsi, nie ma chyba większego znaczenia.

To optymistyczne, co mówisz. Ostatnio można zaobserwować aktywność ruchów miejskich. To chyba próba uratowania miasta dla jego ludzkiego wymiaru, gdzie ważna jest przyroda i dbałość o małą ojczyznę, osiedle czy nawet ulicę. Czy gdybyś została w mieście, twoja aktywność znalazłaby ujście w tym nurcie?

Pewnie tak by się stało, choć miałam pragnienie zmiany radykalnej. Ale gdyby do niej nie doszło, to byłaby jakaś koncepcja ratunkowa, której pewnie nadałabym cechy biodynamiczne i organiczne.

Czy zdarza ci się współpracować z takimi ludźmi?

Dostaję sporo listów od rozmaitych osób zajmujących się takimi przedsięwzięciami w mieście. Na przykład zgłosili się do mnie ludzie, którzy na warszawskiej Pradze chcieli w miejskich przestrzeniach sadzić rośliny zielarskie, więc wysyłałam im nasiona lawendy. Mam nadzieję, że moja lawenda gdzieś tam rośnie.

Na stronie lawendowepole.pl przeczytałem: „Wierzimy, że przy naszej skali i specyfice pojęcie konkurencji nie istnieje. Jest ułudą i mirażem”. Dobitne słowa w czasach nieustannej walki na rynku. Czy da się zrealizować to, co postulujecie?

Staramy się to realizować. Jednak istotna jest skala. Jeżeli mówimy o tej wielkiej, to np. w przypadku firmy, która wprowadza środek czyszczący na rynek, musi ona przepychać się z innymi producentami, żeby zająć jakiś segment rynku, aby ich prześcignąć, albo umiejętnie zachęcić konsumenta, żeby wybrał właśnie ich produkt. Przy małej skali sytuacja jest inna. Należę do zrzeszenia plantatorów lawendy, których w Polsce jest kilkunastu i wspieramy się. Jeśli do kogoś zgłaszają się osoby w poszukiwaniu bukietów lawendowych i akurat ten producent ich nie ma, to odsyła klienta do innych plantatorów. Takie sytuacje w zasadzie nie zachodzą przy wielkiej skali. Przy małej, ludzkiej skali działania i wytwarzania rozmaitych rzeczy wzajemne wspieranie się buduje wszystkich wspierających.

Podobnie jest w przypadku gospodarstw agroturystycznych. W terenie, gdzie mieszkamy, prowadzące je osoby polecają się nawzajem. Tego typu zachowania nas integrują, a nasi goście poddają się czarowi braku agresywnych zachowań konkurencyjnych, i wtedy świat staje się miękki, wręcz aksamitny – wówczas dzieje się właśnie coś takiego, co zmienia świadomość. Wtedy wszyscy otwierają szeroko oczy i mówią: „Ojej, i wy tak nie konkurujecie ze sobą?”. – „Nie”. – „I to się sprawdza?”. – „Sprawdza”. Mam przeświadczenie, że akcentowanie antykonkurencyjności w jakimś sensie stwarza świat, którego nam brakuje.



Lawendowe żniwa i wytwarzanie bukietów do suszenia. Za zdjęciem widać proces wyczesywania liści z końcówek łodyg. Fot. Rafał Lipski

Rozumiem, że w takim modelu funkcjonujecie od kilkunastu lat i to się sprawdziło?

System się sprawdza, natomiast nie wiem, co by było, gdyby ktoś z nas otworzył wielką fabrykę, bo wtedy ta skala zostałaby zmieniona. Dopóki jednak ma ludzką, lokalną skalę, dopóty dzieją się cuda na poziomie interakcji międzyludzkich. Okazuje się, że wytwarzane przez nas produkty są często tylko pretekstem, aby móc się spotykać.

Czy nie zdarzyło się tak, że jakaś duża firma chciała przejąć was i wasze pomysły?

Na razie nie zdarzyły się takie sytuacje. Nawet gdyby tak się zdarzyło, to trzeba byłoby po prostu kupić moje gospodarstwo i mnie zastąpić. Ale ponieważ jest to autorska ścieżka, nie jest to na sprzedaż i tego się trzymam. Nade wszystko kocham wolność i nikt mi nie będzie mówił, co mam robić.

Twoja książka „Lawendowe pole, czyli jak opuścić miasto na dobre” rozeszła się w całym, przecież nie niskim nakładzie. Teraz jest dostępne jej drugie wydanie, co oznacza, że istnieje zapotrzebowanie na takie tematy i idee. Zaskoczyło cię to?

Nie spodziewałam się, że aż tyle osób będzie chciało kupić tę książkę. Jestem szczęśliwa, że tak się sprawy potoczyły. Dla mnie sukcesem było to, że ona w ogóle wyszła – nie zastanawiałam się, co będzie dalej, a okazało się, że cały nakład został sprzedany.

Otrzymałam sporo listów. Ludzie zainspirowani moją historią z książki piszą bardzo osobiste listy o swoich kolejach życiowych. To są niezwykle spotkania, które sprawiają, że świat mi się rozszerzył.

Mam poczucie posiadania tylu nowych przyjaciół, których nigdy na oczy nie widziałam. Ludzie, z którymi koresponduję, czasami przyjeżdżają do Muzeum. Spotykamy się, rozmawiamy, można nawet odnieść wrażenie, że powstała taka lawendowa społeczność. To cieszy, ponieważ dzięki temu Muzeum pełni taką rolę, jaka była mu przeznaczona, umożliwia spotkanie się ludzi w dawnym charakterze, w starych wnętrzach, przy pracy w czasie zbiorów. Jest czas, żeby razem usiąść, pracować i rozmawiać. To powrót do takich wiejskich historii sprzed lat, gdy ludzie zimą wspólnie tkali, prowadząc niespieszne rozmowy – ta historia w Muzeum dzieje się naprawdę.

Czy książka wywołała jakieś zainteresowanie mediów, od tych głównego nurtu po branżowe?

Nie odczułam większego zainteresowania, ale też nie spodziewałam się go, tym bardziej, że moja książka jest dość osobista, a zarazem zaklasyfikowana jako poradnik.

Książka jest trochę *oldskulowa*, z mottem z Lukrecjusza, które jest bardzo niemodne; ma strukturę starych książek, które tłumaczyły różne rzeczy prostym językiem.

Czy wybór lawendy jako znaku rozpoznawczego był przemyślany? Przecież zamiast niej mogła to być każda inna roślina.

Gdy zastanawiałam się, co chciałabym na tej wsi robić, wiedziałam o sobie tylko tyle, że przez pracę integruję się z ludźmi i miejscem. Wiedziałam też, że jeśli nie będę miała na wsi własnej pracy, to ciągle będę na „wakacjach”, które przecież kiedyś muszą się skończyć. I co wtedy?

W związku z tym musiałam wymyślić coś, co pozwoli mi zintegrować się z tą krainą, dobrze się z nią poczuć, ale także coś, co pozwoli mi przeżyć. Pomyślałam o zwierzętach, ale bałam się trochę – nie znałam się na nich, a odpowiedzialność za zwierzęta jest duża, poza tym trzeba byłoby najpierw długo terminować u jakiegoś hodowcy. Stwierdziłam, że zajmę się roślinami. A skoro wybrałam rośliny, to muszą być takie, które w naszym klimacie dobrze rosną. Przeanalizowałam, że w tej części kraju klimat będzie sprzyjał stepowieniu i trzeba będzie liczyć się z niedostatkiem wody, a w związku z tym obszar moich zainteresowań zawęził się do roślin odpornych na suszę. Następnie pomyślałam, że pragnę rośliny, która coś ze sobą niesie – jakąś historię, coś, co mnie fascynuje. Lawenda kojarzyła mi się jak najlepiej, staroangielsko, romantycznie, jest ziołem pożytecznym w rozmaitych zastosowaniach, wszechstronnie leczniczym. Taka roślina dobroczynna dla człowieka to będzie najlepszy wybór. I choć ten wybór był logiczny, to miałam jeszcze taką fioletową chmurkę, takie marzenie, że jest to wybór zadowalający mnie ze względów estetycznych.

Ale to chyba nie było tak, że w pierwszym roku wysiania wszystko wyszło już dobrze?

Działania lawendowe podjęłam po roku mieszkania na wsi. Wysiałam rośliny, które wzeszły, przepikowałam je do malutkich doniczek, potem wysadziłam je na pole, zaczęły pięknie rosnąć, przeżyły zimę, były ciągle malutkie, ale do mnie wtedy jakoś nie dotarło, że osiągnięcie tej „fioletowej chmurki” wymaga czterech lat. Już w pierwszym roku było to ładne, ale dopiero po czterech był obłęd. W zeszłym roku założyłam nową plantację. Obecnie mam niecały hektar lawendy, wszystko uprawiam ręcznie.

To zajęcie na wiele tygodni?

Tak, ale lawenda, choć jest podstawowym, to nie jedynym polem mojej aktywności. Mam jeszcze agroturystykę, prowadzę warsztaty. Wszystkie te zajęcia wymagają czasu.



Lawendowe Muzeum Żywe im. Jacka Olędzkiego, czerwiec 2014 r.

Lawendowe Muzeum Żywe im. Jacka Olędzkiego - czy to jest koncepcja żywej kultury, wiejskiej kultury, którą będziecie popularyzować? Macie stronę internetową, książkę, agroturystykę, warsztaty, rozwijacie działania dla samowystarczalności energetycznej - to skrzyżowanie różnych elementów. Ale co było głównym motywem do założenia muzeum, jego główną ideą?

Od kilku lat szukałam formuły, aby móc zaproponować coś odwiedzającym nas osobom. W okresie kwitnienia plantacji mam sporo gości, którzy przyjeżdżają na godzinę, dwie, zrobić sobie zdjęcie z lawendą, porozmawiać. Nie miałam ich gdzie zaprosić, pokazać im czegoś szczególnego poza moim domem i lawendą. Sami goście też jakby oczekiwali czegoś więcej.

Nie mogłam znaleźć formuły i wtedy doznałam bardzo wyraźnej wizji budynku muzealnego. Przy budynku leżał wielki biały pies, budynek był stary, podobny do mojego domu, stanowił takie dopełnienie, a zarazem rozwinięcie moich aktywności. I wyświetliło mi się, że miałam na uczelni profesora, który nazywał się Jacek Olędzki, który takie muzeum żywe wymyślił, stworzył i prowadził w zasadzie do końca życia. To była chata we wsi Murzynowo, drewniany dom, gdzie Jacek Olędzki gromadził rozmaite stare sprzęty, głównie rybackie. Olędzki wskrzeszał wszystko, co dotyczyło ludności tej wsi, jej sposobu życia. Pomimo że było to wiele lat temu, mocno zapamiętałam to doświadczenie.

Jacek Olędzki był antropologiem kultury i trafiłam u niego na tzw. okres wierzby - miewał on okresy fascynacji różnymi kulturami czy roślinami. Gdy poznawałam Olędzkiego, trafiłam na okres jego fascynacji wierzbą i dowiedziałam się od niego, że wierzba jest taką naszą słowiańską pramatką, że z jej kory pozyskuje się pochodną kwasu acetylosalicylowego, czyli aspiryny. Z próchna wierzbowego robiło się znakomite kadzidła - wystarczyło rzucić je na rozpaloną blachę, aby słodki i przyjemny, a równocześnie dezynfekujący zapach rozchodził się po całym domu. Z gałązek pleciono kołyski dla małych dzieci, kosze, wszystkie przedmioty codziennego użytku. Gdy cały ten świat mi się ukazał, to pomyślałam, że na takich motywach spróbuję zbudować koncepcję swojego muzeum. U mnie odpowiednikiem wierzby stała się właśnie lawenda.

Co ciekawe, ostatnio odezwał się do mnie pan Michał Umiński, który dźwiga z upadku Muzeum Żywe w Murzynowie i ku mojemu zdziwieniu odkrył nasze muzeum im. Jacka Olędzkiego. Pewnie będzie to początek dobrej znajomości.

Co wasi goście znajdą w Muzeum?

Głównie opowieści, gdyż staramy się upowszechniać kulturę opowieści o lawendzie. Jeżeli jest czas

jej zbierania, to ona jest wszędzie, w pachnących stosach kwiecia, nasi goście przyłączają się do robienia bukietów i rozmów o tej roślinie.

Sam budynek Muzeum ma dodatkowe tło – to budynek łemkowski, który został przeniesiony na Warmię. Jak się okazało, na Warmię przesiedlono sporo Łemków. Kiedyś, w czasach, gdy przenosiłam swój dom, sąsiad z okolicy przyszedł i powiedział, że w takim domu się wychował. Jest trochę tak, że to Muzeum przywędrowało za osiedleńcami, to coś symbolicznego. Miałam sporo gości łemkowskiego pochodzenia, którzy przyjechali do Muzeum zobaczyć ten budynek. Były wzruszające spotkania, oni chodzili i mówili: „Boże, to moja babunia tak mieszkała”. To ten dodatkowy wymiar, który pokazuje, czym dzisiaj jest Warmia – kulturowym tygłem.

Muzeum to przepiękny stary budynek z bali, który osadziliśmy na kamieniach, tak jak kiedyś budowano chaty. Wewnątrz są sale, gdzie znajdują się rozmaite eksponaty, mamy przeszklone szafy z różnymi substancjami warsztatowymi, pachnącymi preparatami, olejkami, można podejść, oglądać i powąchać. Mamy stare warmińskie łóża, drewniane, przedwojenne, które wypełnione jest lawendą zamiast tradycyjnego siennika. Można na tym łóżu leżeć, ważne jest bowiem, aby tego muzeum można było doświadczać, a nie tylko w nim oglądać eksponaty.

Otrzymaliśmy sporo darów od ludzi – magiel, wyzmaczkę, stare żelazka z duszą, sprzęty do robienia masła czy odwirowywania mleka. Mamy sporo alchemicznych rzeczy, które służą nam do warsztatów organizowanych właśnie w Muzeum. Tam robimy destylację olejku eterycznego. Na ogół przyjeżdżają ludzie, którzy wchodzą z nami w taką przyjemną interakcję, zaczyna się od zwykłych wstępnych pytań, a potem stajemy się znajomymi, rozmawiamy o różnych lawendowych i nielawendowych sprawach.

Wracając do lawendowego łóża, przyjechała do nas pani, która podarowała nam lniane prześcieradło wykonane przez jej babcię. Zapytałam: „Gdzie pani babcia je zrobiła?”. – „Na terenie obecnej Białorusi”. I tak to u nas jest – na Warmii stoi łemkowska chata i ma białoruskie prześcieradło na lawendowym łóżu – i o dziwo to wszystko do siebie pasuje.

Ile osób do was przyjeżdża?

Wyliczyłam, że w zeszłym roku mieliśmy około 4 tys. gości. Nie miałam pojęcia, że tyle osób ma ochotę przyjść do naszego muzeum. To budujące.

Z całą powagą mogę jednak powiedzieć – obsługa muzeum to są tylko wzniosłe chwile, czuję się w nim jak podczas nieustającego święta.

To chyba oznacza, że ciężko będzie teraz o spokój, którego poszukiwałaś na początku, uciekając z miasta?

I tak, i nie. Mamy wolontariuszy, fantastyczne osoby, które nam pomagają, przyjeżdżają do nas na różny, krótki i dłuższy czas. Życie wokół Muzeum stało się mocno skupione, dzięki temu dom stał się wreszcie domem.

Jako fundacja napisaliśmy sporo wniosków i powoli przychodzi czas ewentualnych możliwości ich realizacji. Jedna decyzja już jest – urząd marszałkowski przyznał nam fundusze na trzydniowy festiwal „Przyroda jest cenna”. W ramach tego festiwalu zrobimy dla dzieci z lokalnych szkół warsztaty przyrodnicze, które w zamyśle mają uwrażliwić najmłodszych na piękno natury. Dzięki projektom chcemy wzbogacać naszą ofertę okołomuzealną.

Za wstęp do Muzeum nie pobieramy żadnych opłat, co powoduje, że w gościach budzi się inna energia – ta antybiznesowa sytuacja otwiera ludzi.

Zawsze chciałam połączyć osobiste inklinacje do etnografii z organicznym rolnictwem, aż wreszcie się udało. Muzeum spełniło moje marzenie.

Czy masz jakieś szczególne rady dla ludzi, którzy chcieliby pójść drogą podobną do twojej?

Trzeba sobie uczciwie zadać parę osobistych pytań, na które należy uczciwie odpowiedzieć. I to jest punkt wyjścia do jakichkolwiek zmian w życiu. Kim jestem? Czy wierzę w swoje siły? Czego pragnę od życia? Ale szczerze. Kim chcę być w życiu, aby umierając czuć, że jestem spełnionym człowiekiem.

Dziękuję za rozmowę.

Joanna Posoch – jest antropolożką kultury (Uniwersytet Warszawski). Od 1999 roku mieszka na Warmii, na którą przeprowadziła się z Warszawy. Od 2001 r. prowadzi organiczną uprawę lawendy w Nowym Kawkowie na Warmii, wymyśliła i prowadzi Wiejskie Warsztaty Alchemiczne, uczy samodzielnego wytwarzania naturalnych kosmetyków. Przy plantacji lawendy stworzyła i prowadzi muzeum, które jest próbą upowszechnienia dorobku naukowego i myśli Jacka Olędzkiego, etnografa z Uniwersytetu Warszawskiego i członka PAN. Jest prezeską Fundacji Lawendowe Muzeum Żywe im. Jacka Olędzkiego. Fascynacje: obszary tematyczne swój-obcy, kultura-natura, być-mieć, a także samowystarczalność na wsi, niezależność energetyczna, umacnianie wspólnoty lokalnej i współpracy sąsiedzkiej. Buduje gliniane piece, zbiera i przetwarza zioła, maluje na tkaninach i ceramice. W 2015 r. ukazało się drugie wydanie jej książki „Lawendowe Pole, czyli jak opuścić miasto na dobre”. lawendowepole.pl